Przeznaczenie?

Przyszedł na świat mniej więcej czterdzieści lat temu w nieznanych mu bliżej okolicznościach i miejscu. Nie wiedział, kim jest i po co w ogóle się narodził. Ci, którzy go przygarnęli – była to stara, przybyła z Grecji do Izraela w latach pięćdziesiątych rodzina żydowska, Katharsis – i wychowali, do końca swoich dni nie powiedzieli na ten temat ani słowa. Traktował ich oczywiście jak rodziców, ale wiedział też, że nie zostali nimi w sposób naturalny, czyli biologiczny. Niemniej ten problem dla nich nie istniał, jakby ich nie dotyczył. Wiedzieli, że adoptując go, popełnili błąd, ale też nic już nie było w stanie tego zmienić. Oddanie go na powrót pod opiekę poprzedniej placówki byłoby zbyt dużym okrucieństwem, które tak naprawdę ich przerastało. Mleko się rozlało, więc nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z tym faktem i próbować go jak najlepiej wychować. Dlatego zaakceptowali ten stan i nigdy do tego nie wracali. Aż do końca dni swoich – do swojej śmierci.

Jako że był jedynakiem, a swojej biologicznej rodziny nie znał, po śmierci swoich przybranych rodziców został sam. To jednak w ogóle mu nie przeszkadzało. Dlatego nawet przez moment w jego głowie nie pojawiła się najmniejsza choćby myśl, żeby odnaleźć tamtą, ktoś by mógł powiedzieć „właściwą”, ktoś inny że „prawdziwą”, rodzinę. Nie interesowali się nim przez całe jego życie, więc teraz on nie miał najmniejszej ochoty na ich poznawanie. Poza tym lubił samotność. Był to stan, podczas którego z przyjemnością oddawał się marzeniom o swojej potędze, o tym, co mógłby zrobić pożytecznego, gdyby miał władzę. Samotność tutaj w żaden sposób nie była stanem, który by go przerażał. Wręcz przeciwnie – czuł się z nim świetnie,

albowiem był częścią składową jego charakteru, zatem w sposób naturalny wynikał z jego człowieczeństwa, z jego wnętrza. I właśnie wtedy, gdy doświadczał owej samotności po utracie najbliższych mu ludzi, wydarzyło się coś, co miało definitywnie odmienić jego życie. Tym czymś był sen. Ale nie jakiś zwykły, jeden z wielu niepoliczalnych i nie do odróżnienia i zapamiętania, jakich doświadczamy w swoim życiu. Ten sen był inny. To był – jak on go nazwał – ***sen proroczy***! Sen, dzięki któremu wyzwolił się ze stereotypowego, doktrynalnego myślenia. Uwolnił się z tkwiących w nim gdzieś głęboko, na skutek takiego a nie innego wychowania, skostniałych uprzedzeń. To był sen, dzięki któremu pozbył się jakichkolwiek zwątpień, które jednak co jakiś czas odzywały się w nim, męczyły go, a przez to również, niestety, ograniczały. Teraz, właśnie dzięki niemu, stał się niejako nowym człowiekiem, pozbawionym niepotrzebnych złudzeń; teraz dysponował na tyle dużą siłą, iż stany niepewności, wewnętrznych rozterek miały raz na zawsze się skończyć. Od tego momentu czuł, że jest innym, wyjątkowym człowiekiem! O wiele bardziej przydatnym, wartościowszym, niż jeszcze do niedawna mogło się wydawać. Chociaż, tak naprawdę, gdzieś głęboko w sobie czuł, że jest nie tylko człowiekiem, ale czymś znacznie więcej. Był przekonany, że jest kimś, kto…

„Tak.” – pomyślał. – „Muszę zniszczyć ten zwierzęcy instynkt zła tkwiący gdzieś głęboko w człowieku. Muszę! Dzisiaj w nocy odebrałem od Ciebie, Panie, przykazania-polecenia, które naturalnie wypełnię. Jedno wszak zastanawia mnie przy tym i nie daje spokoju: Jeżeli moi opiekunowie dali mi na imię Jesus, to dlaczego tak długo byłem bezczynny? Dlaczego Ty milczałeś? Czyżbyś poddał mnie jakiejś próbie? Egzaminowi? A jeżeli tak, to po

co? W jakim celu? Przecież gdybym wcześniej wiedział…” – Nie dokończył. Ściągnął niczym jałowiec krzaczaste brwi i krzyżując ręce na piersiach, jednocześnie założył nogę na nogę. Jego zimny wzrok skierowany był teraz na wiszący na ścianie krzyż. – „Ojciec zawsze mówił, że jestem drań i nic dobrego ze mnie nie wyrośnie. Ona też tak myślała. Podobnie jak inni. Ale ja im wszystkim jeszcze pokażę!” – Chłodno się uśmiechnął i przymykając oczy, wygodnie rozpostarł się w fotelu.

Pokój, w którym się znajdował, był, mimo znajdujących się w nim przedmiotów, nieprzyjaźnie pusty i zimny. Sprawiał wrażenie, jakby tutaj znalazła swoją siedzibę noc skuta wiecznym lodem ciemności. Na jednej ze ścian wisiał jego portret. Obok, po lewej stronie, widniał obraz „Ostatniej wieczerzy”, po prawej znajdowało się płótno przedstawiające „Ukrzyżowanie”, a pod nim znalazł swoje miejsce nóż. Był to nóż z wysadzaną diamentami rękojeścią, który zdobył na wojnie Yom Kippur (podczas sześciodniowej wojny z arabskimi braćmi), a który miał mu teraz służyć z woli Pana w walce z niesprawiedliwością tego świata. Po przeciwległej stronie znajdowało się – od chwili śmierci przybranych rodziców – zawsze zasłonięte czarnym suknem okno, przez które nie przedostawały się choćby najmniejsze promyki dziennego światła. Na tle bocznej pustej ściany stał taboret, na którym leżał stary telewizor z potłuczonym kineskopem. Rozbił go kiedyś w przypływie nagłego wybuchu gniewu, gdy oglądał jakiś dokumentalny film o życiu swojego wielkiego imiennika, który odzierany był w nim z wszelkiej boskości. Na wprost, po drugiej stronie, umieszczone było łoże, obok którego tlił się ogarek dopalającej się świecy. Nad nim wisiał wspomniany już wcześniej krzyż. Na środku pokoju znalazł swoje miejsce

bujany fotel, w którym, zwrócony twarzą do gasnącej świeczki, siedział on, pogrążony w tym momencie całym swym jestestwem w modlitwie, której treścią stało się jego powołanie. Zamyślona postać, w półmroku dogasającej świecy, wyglądała dziwnie nienaturalnie, wręcz odpychająco. Jego twarz pokrywał jasno-rudawy rzadki zarost; usta były małe i wąskie, nos prosty, długi, a uszy lekko odstające; wzrok niejako zdawał się mówić o jego nieludzkich zamiarach, natomiast krótko przystrzyżone włosy sugerowały, jakby dopiero co opuścił zakład karny. W ogóle całe to pomieszczenie wraz z nim wyglądało jak kadr wyjęty z jakiegoś znanego wszystkim filmu grozy.

Gdy tak nieruchomo siedział, obojętnie wpatrzony w tylko sobie wiadomy punkt na ścianie, nagle, zza okna, z pobliskiego ratusza dobiegł do wnętrza pokoju rozdzierający ciszę dźwięk, wybijającego północ zegara. Jesus jakby go oczekiwał, bo nieomal w tym samym momencie podniósł się. Gdy się wyprostował mógł mieć nie więcej niż sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu; ubrany był w luźną bluzę z kapturem i spodnie koloru khaki, a na nogach miał miękkie sportowe obuwie. Następnie podszedł do ściany, zdjął nóż i przeszedł do przedpokoju. Zarzucił na siebie – pozostały po przybranym ojcu – stary, wytarty płaszcz, przypominający starożytną tunikę, podniósł z podłogi wcześniej przygotowaną paczkę i wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Następnego dnia jedząc spóźniony obiad w jednej z tańszych w tej części miasta restauracji, wyjął z kieszeni płaszcza popołudniową gazetę i zaczął ją od tyłu przeglądać. W momencie gdy dotarł do pierwszej strony, jego oczom ukazał się napis, który w nagłówku rozpaczliwie pytał:

„Dewianci czy fanatycy?”, a pod spodem w dalszej jego treści czytał: „… dwanaście osób żywcem pogrzebanych w płomieniach pensjonatu > Korynt <, trzy ocalałe z płomieni, zasztyletowane. To krwawe żniwo minionej nocy policja przypisuje jednej i tej samej osobie lub też grupie osób. O słuszności takiego stanowiska świadczyć mają krzyże namalowane czerwoną farbą na chodnikach w miejscach, gdzie rozegrały się te iście dantejskie sceny. Według policji może to wskazywać na podłoże religijne…” Nie czytał do końca. Odłożył gazetę na bok, zanurzył łyżkę w zupie i pełen rosnącego w sobie zadowolenia, powrócił do przerwanego na moment posiłku.

Mniej więcej tydzień po tym wydarzeniu, które wstrząsnęło całą społecznością tego niewielkiego miasteczka, w tejże samej gazecie ukazał się inserat następującej treści: „Organizacja Najwyższego Stwórcy rozpoczęła działalność. Spotkanie Jego wysłannika z nowymi członkami stowarzyszenia odbędzie się dwudziestego kwietnia o godzinie dwudziestej na ulicy Niepokalanego Poczęcia”.

Tego właśnie dnia, w starym zrujnowanym budynku bóżnicy zebrało się dwanaście młodych osób. Po krótkim wprowadzeniu, jakie wygłosił na wstępie Katharsis na temat przyszłej działalności organizacji, zupełnie nieoczekiwanie ci wszyscy, po raz pierwszy zebrani w tym miejscu ludzie, opuścili pomieszczenie, pozostawiając go z jego niezrealizowanymi planami. Był nie tylko zaskoczony tym, co się stało, ale również ogromnie rozczarowany i rozgniewany. I wówczas wydarzyła się jeszcze jedna niespodziewana rzecz, mianowicie ni stąd i z owąd, jakby wynurzył się z nicości, stanął przed nim człowiek, który był

jego zewnętrznym przeciwieństwem. Był to około 30-letni mężczyzna liczący nie więcej jak sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Oczy miał ciemne, łagodne, można by nawet rzec opiekuńcze, lecz jednocześnie spojrzenie jego było niezwykle stanowcze; nos miał prosty, kształtny, usta natomiast były niewidoczne, gdyż twarz pokrywał gęsty, czarny zarost znacznej długości. Uszy były ukryte pod falami orzechowych włosów, miękko spływających pierścieniami na ramiona, które sprawiały wrażenie jakby pragnęły wtulić się w szatę. Jego wygląd, mimo całej swej skromności i prostoty, pełen był powagi i dostojeństwa. Łudząco przypominał postać świętego ze znanego obrazu, ikony, czy też innego przedmiotu kultu religijnego.

Cisza, która wypełniała całe pomieszczenie, została nagle przerwana słowami nieznajomego:

– Wiem, kim jesteś i co zrobiłeś! Droga, którą kroczysz, to droga zła. To droga, która doprowadzić cię może jedynie do… – Nagle urwał i zamyślił się, jakby chciał sobie coś przypomnieć. Dłonie ułożył w modlitewnej pozie i po chwili dodał: – Znam twoje myśli i zamiary i nie podobają mi się one. Dlatego, zaklinam cię, zaniechaj ich! Cel, jaki sobie wyznaczyłeś, sam w sobie jest nawet piękny i wzniosły, lecz metody – metody, którymi chcesz się posłużyć, niestety, są straszne i w żaden sposób nie do zaakceptowania. Zastanów się nad tym, synu. Przemyśl to raz jeszcze!

Zapadło dłuższe milczenie. Jesus Katharsis był wyraźnie zaskoczony i musiał sobie wszystko na nowo w głowie poukładać. Gdy w końcu zebrał myśli, powiedział:

– Nie wiem, kim jesteś i kto ci dał prawo, żeby mnie instruować, co mogę a czego nie. Nikt nie będzie mi rozkazywał, a już na pewno nie ty. Nie potrzebuję żadnych doradców i ich nikomu niepotrzebnych porad! Postępuję tak, jak wymaga tego ode mnie mój Pan i Stwórca – tylko Jemu służę!

– Mylisz się – przerwał mu Nieznajomy. – W ten sposób nie służysz Panu, służysz diabłu!

– Precz stąd! – zirytował się Jesus. – Precz! Chcę zostać sam. Nikogo nie potrzebuję. Dobrze wiem, co mam robić i…

– Opamiętaj się! – Nieznajomy spróbował raz jeszcze trafić do serca Katharsisa. – Zejdź z tej drogi którą kroczysz, bo to droga donikąd, zaprowadzi cię ona bowiem tylko w jedno miejsce…

– Precz! powiedziałem. – Nie krył zdenerwowania Jesus.

Tajemniczy Nieznajomy, jak niespodziewanie się pojawił, tak i niespodziewanie znikł, pozostawiając jednak po sobie na dłuższy czas w uszach Jesusa dźwięk ostrzegawczych słów oraz bliżej niesprecyzowany niepokój, który niezauważalnie wkradł się w jego serce. Tak, mimo tego, co zrobił do tej pory, miał serce.

Po kilku dniach, które minęły od tych niefortunnie zakończonych wydarzeń w domu modlitwy, Jesus postanowił nikomu i niczemu nie ulegać i dalej samotnie kontynuować walkę, której reguły, jeżeli w ogóle takowe były, wcale nie były lepsze od reguł działań wojennych. Na jej efekty wcale nie trzeba było długo czekać. Nad miastem

znów zawisły ciężkie chmury panicznego strachu, paraliżując jego życie. W miejscowych mediach raz po raz zaczęły się pojawiać rozpaczliwe informacje, wzywające miejskie służby porządkowe do skuteczniejszego działania. Jednocześnie zwracały się one o pomoc do anonimowych ludzi, którzy mogliby podać choćby strzępy jakichś ważnych dla policji informacji, które mogłyby przyspieszyć rozwikłanie tej makabrycznej sprawy.

Tymczasem, gdy stróże prawa dalej razili indolencją w swoich działaniach, częstotliwość popełnianych zbrodni zaczęła się w zastraszający sposób nasilać. Jakby ten, kto je popełniał, był przeświadczony o swojej bezkarności.

Po ustawicznie zamieszczanych w prasie apelach, któregoś wrześniowego dnia w drzwiach miejscowego komisariatu stanął pewien mężczyzna, przypominający, wypisz wymaluj, człowieka, znanego już ze spotkania z Katharsisem. Następnie podszedł on do okienka, w którym majaczyła postać policjanta i o coś zapytał. Gdy usłyszał odpowiedź, skierował się w stronę automatycznie zamykanych drzwi i po chwili za nimi zniknął.

Nie upłynęły nawet jeszcze dwadzieścia cztery godziny od złożonej przez nieznajomego wizyty w biurze dochodzeniowym, gdy podjęta, jeszcze w trakcie jego obecności w komisariacie, akcja, została zakończona pełnym powodzeniem: w areszcie został osadzony ten, który stał się w ostatnim czasie postrachem całego miasta!

Po skompletowaniu przez oskarżycieli wszystkich materiałów obciążających Jesusa, co odbyło się w niezwykle ekspresowym tempie, w wyjątkowo słoneczne o tej porze popołudnie ława przysięgłych orzekła: „Winny!”, po czym

sędzia odczytał wyrok: „Sąd Najwyższy w Jerozolimie, skazuje obywatela Jesusa Katharsisa, syna Józefa i Marii, na śmierć na krześle elektrycznym. Egzekucja odbędzie się w dniu pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset…”

– Mistrzu! Mistrzu! – niecierpliwi się Judasz, potrząsając Jesusa z Nazaretu za ramię. – Słońce już wzeszło, trzeba się spieszyć. Jeszcze dzisiaj musimy być w Jerozolimie!

Mistrz powoli podźwignął się z posłania i rozejrzał dookoła. Jego wzrok pytał, jakby nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje: czy to jeszcze sen, czy może już rzeczywistość? Po dłuższej chwili wyczekującego milczenia, otrząsnąwszy się już na dobre z sennego koszmaru, spokojnie powiedział:

– Dziwny sen miałem.

– Sen?

– Dziwny i zarazem…

– Jaki sen, Mistrzu? Nie rozumiem…

– Dość powiedzieć, że okropny! Dlatego zanim ruszymy w dalszą drogę, mój bracie, pomodlimy się. – Następnie uklęknął na gołej ziemi, zwrócony twarzą, do osiągającego w swojej wędrówce coraz wyższy punkt sklepienia niebieskiego słońca, i pogrążył się w głębokiej modlitwie, zapominając – chciał zapomnieć! – o niezrozumiałej, dziwnej historii człowieka z dwudziestego wieku, którego nie dane mu było nigdy poznać.

Styczeń 1987 r.